

AKTOR JEST DLA TEATRU



Rozmowa
z ZOFIĄ KUCÓWNĄ

— Ostatnia Pani pasja to teatr bardzo kameralny, intymny. Zaczęło się od „Maril” Iredeńskiego, potem nastąpił czas Maril prawdziwych: Dąbrowskiej i Skłodowskiej-Curie — i trwa do dziś. Miejsca spotkań — nietypowe: muzea im poświęcone...

— Przyszłość, że to pasja sprowokowana, ponieważ nie było dla mnie pracy w teatrze. Chciałam jednak istnieć jako aktorka. A ponieważ te wielkie kobiety bardzo mnie intrygowały, a w dodatku istniejąca miejsc, w których one żyły, stało się rzeczą naturalną i oczywistą, że tam chciałam o nich opowiadać. Potem jeździłam z tymi spektaklami po całej Polsce. Ale nigdzie nie brzmiały tak, jak w tych właśnie naturalnych wnętrzach.

— Czy te kameralne spotkania z widzami, ten „mały, domowy teatr”, nie jest przypadkiem — wobec obecnych trudności dużej sceny — przyszłością naszego teatru?

— Nie można przewidzieć, jakimi drogami podaży teatr. Jest to tak żywa dyscyplina sztuki, że potrafi natychmiast przystosować się do zmieniających się warunków. I tak, przeżyliśmy już w teatrze dominację aktora, scenografa, reżysera. Teraz znów teatr daje pierwszeństwo aktorowi. A co będzie w przyszłości — trudno przewidzieć.

Jeśli chodzi o mój teatr, który wypracowałam głównie na Polnie, to chyba sprawdził się: ludzie przychodzą i upominają się o dalsze spektakle. Na jesieni proponuję więc kolejną premierę. Zrobiliśmy adaptację wspomnień Haliny Grabskiej-Ostrowskiej „Bric-à-brac”, o przedwojennej, artystycznej Warszawie, przez którą przewijają się sławni ludzie, godni naprawdę przypomnienia.

— Mówiła Pani o roli aktora, reżysera, ale też mówiła Pani: „aktor jest dla teatru — a nie teatr dla aktora”. Dziś, kiedy wartości kulturalne przestają być chronione i muszą same się bronić, jak widzi Pani miejsce teatru i aktora?

— W dalszym ciągu twierdzę, że aktor jest dla teatru. Nie miałam żadnych roszczeń ani pod adresem kierownictwa Teatru Ateneum, ani — Teatru Współczesnego, w których przyszło mi ostatnio pracować. Na moje szczęście dyrektor Maciej Englert, na wyobraźnię którego może bardziej „działał”, dał mi szansę zagrania w dwóch znakomych spektaklach. Myślę, że ten mój stosunek do teatru jest dla obydwu stron dogodny. Nie powoduje napięć i kolizji. Przyjmuję to, co mi proponują i staram się wywiązywać ze swego zadania

jak najlepiej. Raz zdarzyło mi się odmówić, bo uznałem, że sprawa jest nie dla mnie.

— A czy teatr teraz może wywiązywać się ze swoich zobowiązań wobec aktora? Z tego, co widzimy i słyszymy, wynika, że stanął on wobec wyzwania czasu: musi się sam utrzymać...

— Oczywiście jest, że kultura sama się „nie wyżywi”, bo w takim przypadku musieliśmy drastycznie obniżyć poziom teatru, w którym królowałyby jedynie farsy i wodewile. Na całym świecie sztuka, teatr są dotowane, choć są i dochodowe imprezy. Sztuka przez duże S nie jest w stanie przynosić kokosów: to nie ten adres. Ale bądźmy sprawiedliwi. Od samego początku wszystko było jasne: Izabella Cywińska jesienią ubiegłego roku na Zjeździe ZASP-u powiedziała o trudnościach, które nas czekają. Było to w czasie, kiedy zawiązywaliśmy akcję „Artyści dla Rzeczypospolitej”. I nie prowadziliśmy jej po to, by „kupić” sobie władzę, lecz by tę władzę wesperzyć.

— Jak to się więc stało, że aktorzy, swoją szlachetną akcją popierający rząd premiera Mazowieckiego, stali się jakby kłopotliwymi lokatorami „we własnym domu”?

— Niezbyt miło usłyszeć takie słowa, ale jeśli staliśmy się „kłopotliwi”, to może znaczyć jedno: że akcja trwała za długo — a Polacy szybko wszystkim się nudzą. I tak jak za bojkot na początku zbieraliśmy wyłącznie podziękowania, a z biegiem jego trwania — pretensje, tak i w tym przypadku najpierw towarzyszył nam szeroki aplauz i zachwyt, a potem — krytyka.

Ale nas to nie zraża, ponieważ tylko my nauczylimy i zebrałiśmy społecznego doświadczenia. W sumie była to bardzo pożyteczna akcja i ze wszystkich, jakie były w tym czasie podjęte, najstaranniej przygotowana. Być może, gdyby była robiona „po polsku”, na olaboga, krótkim improwizowanym wybuchem — byłaby dla naszych Rodaków strawniejsza.

My po zrobieniu bilansu moralnego jesteśmy zadowoleni. Robiąc go samokrytyki nie stosowaliśmy, za bardzo przypominałaby czasy minione. Co było złego — wiemy i przeszliśmy nad tym do porządku dziennego, bez samobiczowania. A po zrobieniu bilansu merytorycznego jesteśmy również zadowoleni. Stan konta wynosi ok. 3 mld zł i ponad 20 tys. dol. — a konto wciąż jest otwarte i mimo że już nie „hałasujemy”, pieniądze nadal wpływają.

I jeszcze sprostowanie. Nie tylko aktorzy brali udział w akcji. Także pisarze, poeci, plastycy, muzycy — wszystkie środowiska twórcze. To, że my zdominowaliśmy wszystkich, wynikało z charakteru naszej pracy opierającej się na zespolowości, z liczby zaangażowanych w nią kolegów, wreszcie dlatego, że nasze twarze są bardziej publiczne. A to, że zintegrowaliśmy się we wspólną, kilkumiesięczną pracę, nie jest dla nas sprawą obojętną. Staliśmy się mniej hermetyczni. To chyba też zysk, prawda?

— To prawda, trudno Was załamać. Ale wróćmy do teatru — to podobno Pani jedyna miłość...

— Nigdy nie używam aż tak przesadnych słów. Aktorstwo jest wielką przygodą mojego życia i ona trwa. Ale przede wszystkim jest to zawód.

— Niedawno słyszeliśmy w radiu w Pani interpretacji „Hipnozę” Hanny Krall. Czy ciągle pociąża Panią w radiu spokój i... brak przymusu uczenia się tekstu na pamięć?

— Proszę pani, przyjemność pracy w radiu, dla którego nie trzeba się uczyć tekstu na pamięć, nie wynika z mojego lenistwa. Na szczęście pamięć wciąż mam dobrą i jeśli występuję przed publicznością na żywo, staram się tekst mówić z pamięci — widzi, jeśli nie widzi oczu aktora, traci z nim kontakt! Natomiast w radiu oczywiście się czyta i lubię tę formę obcowania z ogromnym audytorium przez jej intymność. Bo choć wiem, że słuchać mnie może milion, ja zawsze czytam tak, jakbym czytała tylko dla jednego słuchacza.

— Trudno natomiast ostatnio zobaczyć Panią na małym ekranie...

— W ogóle nie występuję, z tej prostej przyczyny, że nie mam propozycji. Mój zawód jest zawodem dyspozycyjnym. Jestem w domu pod takim to a takim numerem telefonu i czekam. Ale jak na razie telefon milczy.

Nie znaczy to, że czekam beczynnym. Jestem zadowolona z każdego okresu swojego życia. Z ostatniego też: to wielka przyгода z samą sobą. Czas bogaty i owocny w różnych wydarzeniach i różne zajęcia. Do najmilszych i najbardziej interesujących należało pisanie książki, która ma tytuł „Zatrzymać czas” i ukaże się w tym roku nakładem KAW-u.

— To brzmi symbolicznie. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała
DANUTA KWIATKOWSKA

Fot. RENARD DUDLEY